

„Blizsze ojczyzny” w Węgajtach

Przywracanie pamięci

Adam Jerzy Socha

Spektakl Teatru Wiejskiego Węgajty „Gospoda ku Wiecznemu Pokojowi”, otwierający międzynarodowe seminarium teatralne „Blizsze ojczyzny” (Węgajty, 6-8 XI), właściwie zaczyna się już przed olsztyńskim dworcem, gdzie grupa młodzieży, głównie licealnej, z Warszawy, Krakowa, Olsztyna, Lidzbarka Warmińskiego, a nawet z Kijowa, z plecakami oczekuje na autokary do Węgajt. Autokary ruszają spod dworca. Miasto zostaje za nami. Wjeżdżamy w ciemny, warmiński krajobraz, w przyrodę północy. Autokary zatrzymują się w szczyrim polu. Dalej ruszamy pieszo, w zupełnych ciemnościach, przez las, na którego skraj czeka na nas człowiek z lampą. Jesteśmy w gospodarstwie Erdmute i Wacława Sobaszków, zarazem w Teatrze Wiejskim Węgajty.

— Zostaliśmy wygnani z Raju i stajemy się coraz bardziej wyzuli z natury — wyjaśni Wacław Sobaszek, twórca teatru oraz autor scenariusza i reżyser spektaklu osnutego na historii Magdaleny z „Doliny Issy”. Jego budulcem są pieśni praktykowane podczas chodzenia po odpustach, po „alilujco”, po weselach i pogrzebach. Te pieśni „wychodzą” z członków teatru, chodzą z nimi w ciemnościach. — Wydzaję po wsiach północy. — Wydzaję z Raju, wyzucie z natury, ściąganie na nas katastrofę. W jej obliczu wyzwała się wspomnienie początku. Takie wspomnienie wyzwała śpiew, który jest sposobem przywracania pamięci. Pieśń daje szczyptę optymizmu, staje się źródłem odrobiniejszej krępy.

— Tam gdzie umiera rytuał, tam powstaje teatr — mówi Wacław Sobaszek. — Jesteśmy teat-

trem, który Leszek Kolankiewicz, antropolog kultury, określił jako „zarażony etnologią”. Cała kultura ludowa to obrzęd. „Dolina Issy” jest traktatem o śmierci. Jest też dramatem religijnym. Jest znakiem czasu.

W pomieszczeniu przerobionym z budynku gospodarskiego nikt nie pyta przybyłych o bilety. Nie ma szatni. Serdeczne powitanie, jakby przyjeźdźni i członkowie teatru stanowili jedną rodzinę. W pewnym momencie zaczyna się spektakl, a raczej wchodzi w kolejną fazę i nie wiadomo, kiedy się kończy. Aktorzy wychodzą z sali do pomieszczenia obok z pieśnią i robią kanapki, parzą herbatę. Posilamy się. Wzibio robi się coraz cieplej. To od wielkiego, pobielonego pieca. W pewnym momencie pod piecem staje Jacek Hałas i zaczyna grać melancholijną pieśń na akordeonie. Jedną z przybyłych z Warszawy licealistek zaczyna tańczyć. Jest to jej taniec. Jej sposób wyrażania siebie.

— Teatr Węgajty poznałam przypadkowo — mówi Ania Kielczewska z VI LO w Warszawie. — Podczas wakacji byłam na obozie w sąsiedniej wsi. Poszłam na spektakl „Gospoda” i coś się w moim życiu zmieniło. Odkryłam to, co mi daje muzyka i taniec. Znalazłam się w zupełnie innym wymiarze. Mnóstwo przemysła. Nie dzieli się z nimi, gdyż jest moje.

— Na seminarium przyjechała młodzież teatralna — mówi Wacław Sobaszek. — Muzyka jest dla aktora językiem. Młodzi ludzie przyjeżdżali tutaj, by uczyć się słuchać naturalnego dźwięku, naturalnego głosu.

Jacek Hałas zmienił melodię na skoczną, tak że nogi same po-

rywają do tańca i pomieszczenie teatralne staje się miejscem zabawy. Do Jacka Hałasa dołączają pozostali muzycy ze skrzypcami, bębniem, wiolonczelą. Jacek zmienia melodię ze skocznej na pieśń żydowską. Obecnie tworzą coraz większe taneczne koło, które krąży i krąży, a pieśń zdaje się nie mieć swego końca...

Drugiego dnia seminarium, po zajęciach warsztatowych w Węgajtach, zabawa w domu kultury w Jonkowie. Uczestnicy seminarium i przybyli z okolicznych wiosek mieszkańcy bawią się tak, aż z tancerzy pot strugami się leje. W pewnym momencie sala zamiera. To zespół „Pogranicze” z Szypliszek. Stanęli kołem i zaśpiewali, aż szyby za drzwiami. Przy jednej z pieśni cała sala podchwytuje refren: „Cierp duszo moja, a będziesz zbawiona, a jak nie wycierpisz, będziesz potępioooooaaaa”.

— Muzyka, którą gramy, pieśni, które śpiewamy, były przekazywane z pokolenia na pokolenie — mówi Józef Murawski, szef „Pogranicza”, rolnik na 14 ha („z kultury nie da się wyżyć”). — Pieśń towarzyszyła nam przez cały rok i przy każdej okazji. Kobiety zaczynały dzień od „Kiedy ranne...”. Nim przygotowały śniadanie, już miały odśpiewane „godzinki”. Każde święto miało swój obrzęd, swoje pieśni. Nasza parafia Bejceły została po wojnie przegrodzona granicą polsko-litewską. Nim to się stało, w kościele nabożeństwa były odprawiane i po polsku, i po litewsku. Dzisiaj po polskiej stronie zostało nas, z dawnej parafii, około dwóch tysięcy ludzi. Odtwarzamy dzisiaj te obrzędy, które zanikły po wojnie.

— My, ludzie pogranicza — mówi dalej Józef Murawski — bardziej czujemy swoją ojczyznę, swoją polskość niż ludzie z centralnej Polski. Dążymy teraz do Europy bez granic. Jedynymi granicami będą granice kulturowe. Marna jednak nadzieja, że ocalimy naszą tożsamość. Przedtem finansowano festiwale radzieckie, teraz festiwal country, festiwal w Jarocinie, a festiwal w Kazimierzu Dolnym, kapel i zespołów ludowych, o mały dwa lata temu się nie odbył z braku środków. W szkołach powinno się położyć większy nacisk na tradycyjną kulturę, inaczej rozplyniemy się w Europie.

Kapela z Szypliszek odpoczęła, ale zabawa trwa. Gra zespół z Węgajt, a wraz z zespołem Jacek Hałas, na akordeonie, rzeźbiarz z Poznania. Kapela nie daje tancerzom wytchnienia. Tańczą się do upadłego.

— Tutaj się gra dla człowieka, który przyszedł się weselić po tygodniu pracy — mówi Jacek Hałas. — To właśnie zafascynowało mnie w Węgajtach. Na ich zabawy przychodzą ludzie młodzi i bawią się przy oberkach i poleczkach. Ja też poszukuję w tej aurze muzycznej, która krąży w okolicach wsi. W wiejskiej kulturze było to, co uciekło z naszego życia — umiejętność wspólnego przebywania, wspólnego śpiewu, a we wspólnym śpiewie tkwi ogromna siła. Muzyka jest dla mnie formą spotkania z drugim człowiekiem. Na zabawie nie ma różnicy między muzykiem i tancerzem. Jeśli nie zagram szczerze, to ludzie nie zatańczą. A na zabawie trzeba się zmęczyć, wyrzucić z siebie wszystko, wytupać. Żeby rano iść w życie z nową iskrą bożą.

„Pogranicze” odpoczęło i zmieniło Węgajty. — Pięknie grają — kręci głową z podziwu Wacław Sobaszek. Tego samego zdania jest Mirosław Nejman z Kawkowa, rolniczka.

— Kocham muzykę ludową — mówi. — Dlatego nawet w ciąży nie żaluję sobie zatańczyć. Ten pan z Szypliszek pięknie gra na akordeonie, nastrojowo, łagodnie. Bardzo rzadko można takie melodie usłyszeć. Muzyka naszego zespołu z Węgajt jest wyładowaniem emocji, energii. No dobrze, a teraz pan ze mną zatańczy.

I zatańczyliśmy we trójkę (trzeci tancerz — dziecko w łonie pani Mirosławy), aż się kurzyło.

A nasze tańcowanie obserwował Enrico Masseroli, aktor, reżyser i tancerz z międzynarodowej grupy „Teatr Piratów”.

— Obserwuję, jak ludzie przemierzają się w tańcu w przestrzeni tej sali — mówi. — Ludzie tutaj bardzo mocno używają w tańcu swego ciała. Silny nacisk na stopy, które wystukują rytm. W tańcu odbywa się walka o miejsce do tańczenia. Ludzie nawet niechętnie zderzają się ze sobą. W spotkaniu się z tymi nóg. W innych krajach ludzie podczas tańca nie dotykają się tak bezpośrednio, starają się używać wszystkich części ciała, bioder, ramion, górnej części kręgosłupa. Po tańcu widać, jak ciało jest kulturowo wychowane.

Rozmawiamy o pierwszej w nocy i Enrico mówi, że takie święto, jak na niego, trwa zbyt długo. Nie wiedział, że to dopiero półmetek. Zabawa zakończy się dopiero nad ranem. Atmosfera zabawy porwała nawet podchmieleonego tubylca, który pisał wraz z innymi, nie czyniąc nikomu krzywdy.

Dzień trzeci, niedziela, 8 listopada. Prezentacje na olsztyńskim Zamku, w w Sali Kromera. W sali tej doszło do spotkania trzech zespołów, które nie spotykają się nigdy na żadnych koncertach, w żadnym miejscu na świecie, jak zauważył jeden z zapowiadających, ponieważ zespoły te tworzą zupełnie różne światy. Tak uważano do tej pory. Zespół „Pogranicze” z Szypliszek, dysponujący nieprzerwaną tradycją, który w Zamku zaśpiewał pieśni pogrzebowe z kanticzek, które od stu lat są w ich domach. Tymi śpiewami do dzisiaj w ich wsi żegna się każdego zmarłego. W trudniejszej sytuacji jest zespół „Intakasy” z Wilna (trójka młodych ludzi, gdzie tradycja porwała się na skutek niedbałości o nią systemu i dopiero dzisiaj jest odtwarzana, dokumentowana i prezentowana. W najgorszej sytuacji jest zespół „Sequentia” z Kolonii, powołany w 1977 roku przez Amerykanów, Barbare Thorntona i Benjamina Bagby (w Zamku, na fidei, średniowiecznym instrumencie, grała Elisabeth Graver). Zespół ten dysponuje materia o tradycji przerwanej (mowa o muzyce średniowiecza od IX do XV wieku), która nie dotrwała do naszych czasów. Zespół „Sequentia” na skutek badań nad kulturą średniowiecza, szczególnie badań kultur równoległych, ludowych z różnych zakątków Europy, stworzył spójną wizję muzyki średniowiecza. Jako jedyny zespół tego rodzaju grał w najsłynniejszych salach na całym świecie, nagrał dużo płyt.

To co łączy wszystkie trzy zespoły, stwierdził zapowiadający zespół „Sequentia”, to wielkie umiłowanie tradycji i poszukiwanie wspólnych korzeni.